

Koptowie

Robert
Wieczorek

staliśmy się
śmieciem
tego świata



Copyright © by Robert Wieczorek

© Copyright by Wydawnictwo Serafin, Kraków 2013

Redakcja

Joanna Piestrak

Łamanie

Edward Augustyn

Korekta

Tomasz Duszyk OFM Cap

Zdjęcia

Archiwum autora

© Maria Vazquez | Dreamstime.com

Wydawca

Wydawnictwo Serafin, ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków

Zakon Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincja Krakowska

Druk

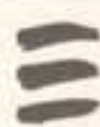
Ekodruk, Kraków

Wydanie pierwsze – Kraków 2013

Printed in Poland

ISBN 978-83-63243-13-5

Zamówienia:



WYDAWNICTWO SERAFIN • ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków

tel./fax 12 623 80 58, e-mail: zamowienia@e-serafin.pl

księgarnia internetowa: www.e-serafin.pl

SPIS TREŚCI

Wprowadzenie	5
 CZĘŚĆ I	
Mokattam	9
Cztery kilometry ludzi	14
<i>Wiatr w oczy</i>	14
<i>Religionis nullius</i>	16
<i>Jonasz</i>	17
<i>Panie, nie mam człowieka</i>	21
<i>Jesteście ważniejsi niż wiele wróbli</i>	22
Ziarnko gorczycy sprzed tysiąca lat.....	24
<i>Czas próby</i>	25
<i>As ukryty w Bożym rękawie</i>	27
<i>Wiara góry przenosi</i>	29
Patron na ciężkie czasy.....	32
Monaster	34
<i>Kościół św. Pawła</i>	35
<i>Kościół św. Marka</i>	37
<i>Katedra Matki Bożej i św. Szymona Garbarza</i>	38
<i>Odnalezienie relikwii św. Szymona</i>	39
<i>Rytle w skale</i>	40
Besaleel	42
<i>Powołanie misyjne</i>	44
<i>Święty Franciszek miesza</i>	46
<i>Decydujący wiraż</i>	50
<i>Mona i Mariusz</i>	51
<i>Jeśli oni zamilkną, kamienie wołać będą (Łk 20,40)</i>	52
Posługa uwalniania.....	58
Dobro rodzi dobro.....	62
Oblężeni.....	64

CZĘŚĆ II

Skąd się wzięli Koptowie?	71
<i>Gorycz utraconej chwały</i>	73
I wtedy przyszli Arabowie	76
<i>Przyszli i pozostali</i>	80
Staliśmy się śmieciem (1 Kor 4,13)	83
Fatymidzka odwilż	90
Al-Hakim Obłąkany	93
Arabizacja	98
Saladyn i okres wypraw krzyżowych	99
Nawróć się na islam, a będziesz żył w pokoju	106
Upadek tysiącletniego chrześcijaństwa w Nubii	111
Kopący kaganek koptyjski	112
Z hibernacji do wiosny	117
Pierwsza arabska wiosna	120
Wtórne zlodowacenie	122
<i>Koptyjskie odrodzenie</i>	128
Węzeł gordyjski – między nadzieją na lepsze a realizmem	132

CZĘŚĆ III

Nie przeczytasz o tym w żadnej gazecie	137
Kilka historii	139
Słoń i mrówka	147
Czy jest szansa na owoce lata po kwiatach wiosny arabskiej?	153
<i>Co teraz z Egiptem?</i>	153
<i>Jedna jaskółka wiosny nie czyni</i>	156
<i>Jakie są perspektywy?</i>	160

ANEKS

Jak zanikała starożytna religia Egiptu?	169
Wielkie młotkowanie, czyli kto niszczył zabytki faraońskie	177
<i>Wandalizm prywatny</i>	177
<i>Wandalizm polityczny</i>	178
<i>Czasy koptyjskie</i>	179
<i>Islam</i>	180
<i>Apogeum</i>	182
Święta Rodzina w Egipcie	185
<i>Sakha</i>	187
<i>Wadi Natrun</i>	187
<i>Matariyah</i>	187
<i>Babilon – Stary Kair koptyjski</i>	189
<i>Maadi</i>	189
<i>Al Muharak</i>	190
<i>Dair Dronka</i>	191
Góra św. Katarzyny.....	193
Katolicy w Egipcie	199
Co Egipcjanie myślą o Żydach	205
Podziękowania	209
Bibliografia	211

W końcu szopka z Betlejem musi przyciągnąć uwagę polskiego gościa specyficznym detalem. To chyba jedyna płaskorzeźba, przy której autor umieścił datę wykonania i swoje imię: „1.06.1997 Mariusz”. Polak ?

BESALEEL

Mariusz Dybich – twórca płaskorzeźb na Mokattamie to krępy, wysportowany mężczyzna. Choć ma już sporo ponad czterdziestkę i przerzedziła mu się czupryna na głowie, tryska młodzieńczą energią i optymizmem. Szczery uśmiech i spojrzenie skrzące ognikami czerstwego humoru przywołują w pamięci filuterny błysk w oczach Don Bosco. Bo też i Mariusz ma salezjańską przeszłość. Ale po kolei.

Urodził się i wychował w Olkuszu. Swą młodość z czasów szarzyzny chylącego się ku upadkowi komunizmu wspomina z sympatią. Mimo braku perspektyw, nie dał się zdusić ustrojowemu marazmowi, lecz czynnie budował swoje jutro. Pogodzić szkołę i pracę wcale nie było łatwo. Ojciec – złota rączka – nie pozwalał na to, by dzieci zbijały bąki. W jego przydomowym warsztacie zawsze było coś do zrobienia. Czasem fucha na zewnątrz albo mozolenie się, jak przy skromnych środkach kontynuować budowę nowego domu. Ale Mariusz nie krzywdował siebie. Warsztaty przy ojcu były najlepszą szkołą zawodową, jaką mógł mieć: parał się wszystkim, co ma związek z mechaniką i elektryką. Domorosły majster do dziś wykorzystuje zdobyte wówczas umiejętności.

Przedwczesna śmierć taty postawiła go nagle przed przyśpieszonym egzaminem dojrzałości. Skromne środki nie wystarczały osieroconej rodzinie. Trzeba było myśleć, jak jednocześnie kończyć szkołę i zarabiać na życie. Nie należał do rozczulających się nad sobą. Uprawiał sport, najpierw biegi, a potem kung-fu – objawienie tamtejszej epoki. Nie dał się jednak zarazić powszechną wtedy wśród młodych *Bruce-Lee-ozą*. Może nieco łobuzował z nadmiaru fantazji, ale *nic-po-niem* nie był. Chłopak żywił głęboko w sercu pragnienie bycia pożytecznym człowiekiem. Życia nie chciał spędzić byle jak. Miał szczęście spotkać instruktora walk wschodnich, który rozumiał, że powierzeni mu chłopcy nie mogą poprzestać jedynie na technice kung-fu – potrzebują równorzędnie rozwoju duchowego. Nie zabrał ich jednak do orientalnego guru, lecz... na spotkania modlitewne Odnowy w Duchu Świętym. Ze wspólnotą pojechali na czuwanie modlitewne na Jasną Górę. I tam ten chłopak uznający się za twardziela popłakał się jak dziecko. Temu, który niedawno potrafił przyjąć po męsku śmierć ojca, teraz po twarzy spłynęły łzy – nie bólu, ale dogłębnego poruszenia serca, z nadmiaru miłości, miłości do Boga, która w nim wezbrała i zaczęła się przelewać. Pamięć tego jedyne w swoim rodzaju doświadczenia stała się odtąd drogowskazem na krętych ścieżkach jego życia, które miało się okazać niepospolite.

Bóg, raz odkryty w życiu, pociągał go do coraz bardziej radykalnych wyborów. Mariusz podczas swych poszukiwań spotkał salezjanów. Charyzmat zgromadzenia księży od św. Jana Bosco, oddanych pracy z młodzieżą, trafił na podatny grunt w jego duszy. Wstąpienie do seminarium

salezjanów to był strzał w dziesiątkę. Czuł się we wspólnocie jak ryba w wodzie. Prężne międzynarodowe zgromadzenie księży cieszących się wielką sympatią młodzieży otwierało przed młodym zapaleńcem szerokie perspektywy. Studiował, by ukończyć seminaryjną formację i zostać kapłanem, ale każdą nadarzącą się okazję wykorzystywał do pracy z młodymi. Odkrycie Jezusa jako Zbawiciela i miłość do Boga, który jest bliżej nas, niż potrafimy to sobie wyobrazić, nie mogły czekać. Uważał, że tą prawdą trzeba się dzielić od zaraz.

Dał się poznać przez swój nonkonformizm i pragnienie radykalnych wyborów. Dążenia do kapłaństwa nie traktował jako przywilej, ale służbę. Na pieszych pielgrzymkach do Częstochowy przed noclegiem chował sutannę, by nie korzystać z wygodniejszych kwater zarezerwowanych dla duchowieństwa, ale szedł z pielgrzymami spać do stodoły. Niejednokrotnie ta postawa pomagała mu w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi z problemami, trzymającymi się na uboczu. Odkrycie, że ten „równy facet” to ksiądz, bywało dla nich początkiem otwarcia i przekonania się do „nie-dostępnych agentów instytucji kościelnej”. Młody kleryk czuł potrzebę wychodzenia poza schematy.

Powołanie misyjne

Kontakty ze starszymi kolegami – misjonarzami, którzy w czasie urlopów opowiadają o swej pracy w dalekich krajach, zrodziły i u Mariusza pragnienie wyjazdu na misję. Przyjaciel z Tanzanii roztaczał przed nim kuszącą wizję pracy w afrykańskim buszu: owszem, jest trudno, wiele

problemów, duże odległości, ale to fajna przygoda, masz samochód terenowy do dyspozycji. Miraże fantastycznego safari... To, co miało być zachętą do wyjazdu do Czarnej Afryki, niedoszły „buszmen” bierze za przestrożę dla siebie. On nie chce szukać na dalekich misjach atrakcji ani przygód. Chce jechać tam, gdzie najtrudniej jest być chrześcijaninem i misjonarzem. Z tego, co słyszy, najwięcej przeszkód napotyka ci, którzy pracują na Bliskim Wschodzie. Niby bliżej do Europy, Orient to kraje biblijne, Palestyna jest ojczyzną Jezusa, Arabowie są raczej biali, ale być tam chrześcijaninem, to bardzo trudna sprawa.

Salezjanie pracują w wielu miejscach Ziemi Świętej i Afryki Północnej. Ich renoma jako organizatorów dobrych szkół i oddanych wychowawców młodzieży jeszcze w XIX wieku otworzyła im drogę do krajów muzułmańskich. Trafiają świetnie w potrzeby tamtejszego środowiska. Kościół rzymsko-katolicki nie mógłby liczyć na możliwość zakładania typowych parafii w miejscach, gdzie dominuje islam; ogromna większość tamtejszych chrześcijan to ortodoksi z Kościołów przedchaldejskich, a jedynie niewielka ich część pozostaje w unii z Rzymem. Natomiast zakładane przez „łacinników” placówki edukacyjne na wysokim poziomie cieszą się estymą u wszystkich.

Salezjanie wyspecjalizowali się z biegiem czasu w prowadzeniu szkół technicznych, dających chłopcom konkretną wiedzę i zawód potwierdzony certyfikatami Unii Europejskiej. Większość lekcji prowadzą w języku włoskim, co jest naturalne dla zgromadzenia mającego swe korzenie w Turynie. I tu kolejny plus – chłopcy wychodząc ze szkoły, radzą sobie z mową w jednym z języków europejskich.

Mariusz wyraził przełożonym pragnienie dalszej realizacji swego powołania jako misjonarz w krajach arabskich. Prośba została przyjęta. Po ukończeniu pierwszej części studiów miał dołączyć do konfratrów z Inspektorii Bliskiego Wschodu. Tam miał dokończyć studia, przygotować się do ślubów wieczystych i przyszłego kapłaństwa, a poznając w międzyczasie język i kulturę arabską, uczyć się najważniejszego, czyli jak żyć po chrześcijańsku w kraju zdominowanym przez islam. Podróż na Bliski Wschód miała być poprzedzona rocznym pobytem we Włoszech i nauką włoskiego, który jest językiem wewnętrznym salezjańskiej wspólnoty w miejscu przeznaczenia. Na kurs lingwistyczny wysłano go do Perugii w Umbrii, uroczego miasta uniwersyteckiego w centralnej części Półwyspu Apenińskiego.

Święty Franciszek mieszka

Nie sposób mieszkając w Umbrii, nie rzucić okiem na pobliski Asyż i intrygującą osobowość najbardziej znanego syna tego malowniczego miasteczka – św. Franciszka. Niezmiennie od ośmiu wieków inspiruje on młodzież swą niecodzienną przygodą w poszukiwaniu Boga.

Mariusz poprosił przełożonych o pozwolenie na pielgrzymkę do Asyżu. Wybrał się tam na piechotę, no bo jak lepiej podążać po śladach bosego Biedaczyny? Wspomina z uśmiechem, że poszedł tam na przelaj. W praktyce okazało się to chybionym przedsięwzięciem, bo co rusz napotykał ogrodzenia biegnące w poprzek obranej trasy. Wędrowanie zajęło mu o wiele więcej czasu, niż pierwotnie przewidywał. Noc spędził koło ruin zamku Rocca Maggiore,

górującego nad średniowiecznym miasteczkiem. Podążając ścieżkami św. Franciszka, nie wypada szukać wygód...

Mariusz przyznaje, że była to nieco ekstrawagancka przygoda, ale taki już jest. W rezultacie do domu wrócił dopiero na drugi dzień. W całej prostocie opowiedział o tym, co zaszło. Wyjaśnienia przyjęto, ale później miał się dowiedzieć, że jednak przełożeni mieli trochę inne spojrzenie na jego spontaniczność i zinterpretowali to wydarzenie raczej podejrzliwie.

W końcu nadszedł czas wyjazdu do Egiptu. W Kairze miał stawiać pierwsze misyjne kroki pośród uczniów ze Szkoły Salezjańskiej w dzielnicy Zeytoun. Rano chodził do Dar Comboni, szkoły językowej założonej przez kombonianów dla misjonarzy przygotowujących się do pracy w krajach arabskojęzycznych.

W opinii otoczenia, szło mu to nadzwyczaj sprawnie. Tajemnica sukcesu kryła się w tym, co porabiał po lekcjach. Gdy tylko uporał się z obowiązkami, biegł do młodych i z nimi próbował swych sił. Przypadł do gustu przełożonym z powodu błyskawicznego postępu w nauce języka i zdolności manualnych, którymi szybko się wykazał. Ale jego wieczorne eskapady budziły sprzeciw. W domu zakonnym obowiązywał bowiem zwyczaj, że po lekcjach i zajęciach popołudniowych salezjanie zamykali bramy i resztę wieczoru spędzali spokojnie we własnym gronie.

Mariusz nie ukrywa, że taka postawa mierziała go od początku. W Kairze właśnie wieczorami młodzi ludzie wylegają masowo na ulice. I to był optymalny moment dla salezjańskich wychowawców, aby do nich wyjść. Tymczasem oni siedzieli za klauzurą. Mariusz wkładał sutannę

i dawał susa przez mur na ulicę. *Ya abuna!* (O, nasz ksiądz!) – niespotykany widok siłą rzeczy budził sympatię u młodzieży. Jeśli obierając tę niezbyt katolicką formę wychodzenia z klasztoru, czuł jeszcze pewne rozterki, to w serce powracał pokój na widok radości młodych. Oni go potrzebowali. Wśród nich czuł się jak ryba w wodzie. Poznawał nie tylko ich język, ale i domy, ulice, na których mieszkali. Ogrom nędzy ludzkiej i potrzeb stawał jasno przed jego oczami.

Nie same wieczorne eskapady Mariusza jako takie były przyczyną krytycznego spojrzenia nań jego przełożonych salezjańskich. Barwne życie ich założyciela Don Bosco aż roi się od nieszablonowych przygód, na jakie się narażał dla swych podopiecznych. Święty ksiądz Jan jest pierwszym przykładem robienia tego, co tzw. szanującemu się kapłanowi nie wypada. Przełamywanie stereotypów jest wręcz wpisane w charyzmat salezjański i tłumaczy poniekąd tajemnicę powodzenia ich pracy wśród młodych. Nie w tym tkwił problem.

Kontekst społeczny pracy misyjnej salezjanów jest ważny. Jak już wspomniano, racją usprawiedliwiającą bytność rzymsko-katolickich misjonarzy na Bliskim Wschodzie są prowadzone przez nich dobre szkoły. Z tego powodu cieszą się uznaniem wśród muzułmanów i ortodoksów, którzy chętnie powierzają im swoich synów. Ale już przejawy rzeczywistej czy domniemanej konwersji u jednych i u drugich wywołałyby wielkie larum z poważnymi konsekwencjami, zagrażającymi nawet samemu istnieniu szkoły. Do dziś wspomina się, jak parę lat wcześniej jednego z salezjanów oskarżono o próbę ewangelizacji swych podopiecznych.

Rozpętała się wielka burza nad ich głowami. Ostatecznie stanęło na tym, że szkoła pozostanie, ale winowajca miał natychmiast opuścić Egipt z wilczym biletem. „Jesteśmy tu dla edukacji, a nie dla ewangelizacji” – powtarzano sobie jako ostrzeżenie, pryncypalną zasadę.

Właśnie to stanowiło kość niezgody między Mariuszem a ekipą wychowawców. Młody idealista powtarzał podstawowy slogan księdza Bosko: „Ewangelizacja przez edukację”. Sytuacja, którą zastał w Egipcie, była odwróceniem pierwotnego porządku. We wspólnocie rozumieli się i lubili, podejmowali dyskusje, ale bez konsensusu między *praxis* starszych a młodzieńczym idealizmem.

Młody Polak stanął przed decyzją ostatecznego zaangażowania się w zgromadzeniu – ślubami wieczystymi, które dla zakonnika stanowią warunek *sine qua non* dopuszczenia do święceń. Przełożeni uznali, że czas jego profesji wieczystej powinien zostać odroczone. Po półtorarocznym pobycie w Egipcie krewki kleryk miał pojechać do Polski i zastanowić się nad tym, co dalej.

Mariusz ten okres „burzy i naporu” wspomina dzisiaj głównie jako czas rozeznawania w Duchu Świętym tego, co ma czynić dalej, nie zaś konfliktu z nierozumiejącymi go przełożonymi. Pewne było, że chce zostać wśród swych arabskich braci i pracować wśród ubogich, których wielu poznał w kairskich dzielnicach biedoty. Natomiast perspektywa pracy w charakterze „politycznie poprawnego pedagoga” w okrojonym schemacie działalności szkoły nie bardzo mu się uśmiechała. Jezus i głoszenie Jego Ewangelii było dla Mariusza najważniejsze – jasno to widział.

Decydujący wiraż

Mariusz wyjechał do Polski i tam podjął ostateczną decyzję: poprosił o zgodę na opuszczenie zgromadzenia zakonnego i zwolnienie ze ślubów czasowych mających wygasnąć za parę miesięcy. Była to konsekwencja jego radykalnych wyborów. Zrozumieć jego postępowanie niełatwo, ale tak przedstawiała mu się droga pójścia za Jezusem. Po ludzku patrząc, został bez jakichkolwiek zabezpieczeń – bez skończonych studiów i bez grosza przy duszy. W Polsce w tamtych czasach – na początku lat 90. – można było przy odrobinie zdolności dorobić się i nieźle urządzić, ale Mariusz akurat tego nie szukał.

Wrócił do Egiptu z dwustoma dolarami w kieszeni, bez oficjalnego pozwolenia na pobyt. Wiedział, że chce pracować z biednymi. Cóż mógł tam jednak zdziałać ex-salezjanin bez oparcia we wspólnocie i bez środków materialnych do dyspozycji?

Siostry Matki Teresy z Kalkuty mają w Kairze dwa domy dla starców i chorych: jeden prawie w centrum miasta przy byłym kościele katolików obrządku chaldejskiego i drugi w dzielnicy śmieciarzy na Mokattamie. Właśnie u nich Mariusz znalazł swój przyczółek. Pomagał zakonnicom w opiece nad dziećmi i starcami z przytułku, a przy tym, jak to w dużym domu, zawsze miał coś do naprawienia czy przerobienia. Siostry dostrzegły też, że mógłby wiele zrobić dla młodzieży w ludnej dzielnicy śmieciarzy, miał przecież do dyspozycji potencjał w postaci formacji otrzymanej u salezjanów. Zwłaszcza jedna z nich, s. Majel z Bangladeszu, była dla niego źródłem dobrych natchnień. Niezmier-

nie oddana sprawie ubogich, dodawała mu odwagi, by zaangażował się w koptyjskiej parafii śmieciarzy: „Tam, wśród biednych, jest twoje miejsce”. Głos tej charyzmatycznej konnicy pracował w jego sercu. Dzisiaj, z perspektywy czasu, Mariusz dostrzega w tym skierowaniu go do Mokratamu wyraz woli samego Boga. Jego anioł dobrej rady, Majel zmarła niedługo potem – o wiele za wcześnie – mając zaledwie czterdzieści lat.

Mona i Mariusz

Tymczasem inne ważne sprawy scementowały na trwałe związek Mariusza z nową ojczyzną. Swoją przyszłą żonę poznał po ponownym powrocie do Egiptu. Mona brała udział w spotkaniach grupy modlitewnej przy koptyjskiej katolickiej parafii na Heliopolis. Obydwoje zaangażowani w życie Kościoła i oddani ewangelizacji, przez parę lat byli serdecznymi przyjaciółmi. W ramach przygotowań do Wielkiego Jubileuszu pewien irlandzki kapłan powziął projekt zorganizowania w Rzymie w 1997 roku spotkania dla ewangelizatorów z całego świata. Realizacja tego gigantycznego przedsięwzięcia wymagała wielkiego wysiłku: znalezienia środków, mobilizacji sił, koordynacji prac i czasu. Dlatego w 1994 roku Mariusz i Mona, jako aktywni członkowie grupy modlitewnej, zostali wytypowani do pracy w Rzymie przy organizacji zjazdu w sekcji Bliskiego Wschodu. Mariusz znał włoski i arabski, a Mona, Egipcjanka z wyższym wykształceniem, mówiła nadto biegle po angielsku i francusku. Perspektywa wyjazdu w towarzystwie chłopaka na długi czas i za granicę dla Mony, dziew-

czynny z porządnego domu, stanowiła poważny problem. W bliskowschodnim społeczeństwie dobre prowadzenie się i nieposzlakowana opinia są jednym z pryncypiów. Sytuacja pchnęła oboje do sformalizowania tego, co od dłuższego czasu do siebie czuli, i w konsekwencji podjęcia decydującego kroku.

Mariusz zaskoczył rodzinę w Polsce informacją o swych planach matrymonialnych. Musiał się wytłumaczyć z tego pośpiechu, który w kraju nad Wisłą oznacza najczęściej zaistnienie niezbyt „katolickiej” sytuacji. Jego mama zdołała przed ślubem poznać swą przyszłą synową jedynie przez telefon, ale Mona pięknie się wkupiła w jej łaski, mówiąc grzecznie kilka wyuczonych zwrotów po polsku.

Decyzja o ślubie satysfakcjonowała teściową Mariusza, o której zawsze mówi z szacunkiem jako o osobie przywiązanej do wiary i wartości ewangelicznych.

Młodzi małżonkowie dostali bilety na podróż, pozostawiali resztę spraw na miejscu, Mona zrezygnowała z dobrej posady w bibliotece w ambasadzie amerykańskiej i... okazało się, że wyjazd nie dojdzie do skutku. Szwajcarski sponsor przedsięwzięcia nagle zmarł i projekt upadł wraz z blokadą finansów.

Małżeństwo jednak trwało. Trzeba było zorganizować wspólne życie – w Egipcie.

Jeśli oni zamilkną, kamienie wołać będą (Łk 20,40)

Wierny sugestii s. Majel, Mariusz zgłosił się do o. Szymona z propozycją pomocy. Do dziś wspomina, jak głęboko zapadła mu w serce postawa, jaką wobec niego przyjął ten

koptyjski kapłan. Postawił mu jedno zasadnicze pytanie: „Czy kochasz Jezusa?”. Pozostałe kwestie: dotychczasowa historia życia, przynależność do Kościoła katolickiego czy środki, jakimi dysponuje, były na drugim planie. Sprawdził tylko dyskretnie, czy nie ma przypadkiem do czynienia z awanturnikiem albo pomyłonym poszukiwaczem chwilowych doznań. Ale młody Polak wzbudził w nim zaufanie. Liczyła się ostatecznie miłość do Boga i dyspozycyjność w sercu do służby innym.

Mariusz miał już wcześniej okazję wykonać pracę zdobniczą w drewnie dla koptyjsko-katolickiego biskupa Gizy. Nie, rzeźbiarzem nie był i za takiego się nie uważał – ukończył jedynie we Włoszech dwutygodniowy kurs plastyczny... Ale o. Szymon wykorzystał okazję, by go wypróbować. Miał akurat w sanktuarium niedokończoną płaskorzeźbę, której wykonanie zlecił pewnemu znanemu artyście egipskiemu. Ten, niestety, nie dość, że ceniał się wysoko, to jeszcze zwlekał w wykończeniu roboty. Prace przeciągały się niemiłosiernie. Sytuacja była niezręczna i patowa dla obu nieusatisfakcjonowanych stron. Pojawienie się Mariusza zainspirowało o. Szymona do upieczenia dwóch pieczeni na jednym ogniu – wypróbowania zdolności Polaka oraz dokończenie dzieła. I faktycznie, Mariusz spisał się na medal. Zdołał wykuć w skale wizerunek z małego obrazka, do tego sprawnie i bez zapłaty. W sanktuarium doceniono wrodzony talent i bezinteresowność domorosłego mistrza kamieniarskiego z Olkusza. I tak w 1995 roku zaczęła się jego wielka przygoda w sanktuarium śmieciarzy.

Proboszcz *zabalin* zachęcał początkującego rzeźbiarza do coraz śmielszych przedsięwzięć, a Mariusz rozwijał się

coraz bardziej. Ojciec Szymon miał go pod baczną kontrolą, bo tradycja koptyjska narzuca sztuce sakralnej rygorystyczne kanony. Młody wolontariusz był skory do słuchania pouczeń i otwarty na korektę swoich zachodnich gustów.

Współpraca zatem układała się dobrze, a Mariusz podejmował się jeszcze wielu innych zadań. Zajął się zakładaniem ogrodu i opieką nad drzewami owocowymi. Wykazał się inwencją w adaptacji kapryśnie uformowanego terenu na skalnej półce sanktuarium. Radził sobie świetnie z cementem i żelazem: potrafił robić atrapy skał, kamuflując w pierwotnym otoczeniu istnienie wielu przejść i zakamarków. Wykorzystując naturalne rozpadliny w skałach, zręcznie je obrobił i przygotował w ich zaciszu miejsce odosobnienia dla o. Szymona. Dla siebie także przygotował wykutą w skale pustelnię.

Z biegiem czasu stał się w sprawach technicznych prawą ręką o. Szymona. Wykonywane prace wymagały nie lada zręczności i siły. Wzbudzał więc podziw otoczenia, gdy przy kolejnych coraz bardziej karkołomnych projektach założył na wysokości kilkudziesięciu metrów podesty do chodzenia podczas pracy lub też godzinami na piękącym słońcu w alpinistycznej uprząży tkwił podwieszony na linie i kuł w skale.

Na początku Mariusz dysponował bardzo prostymi narzędziami. Ale w miarę zdobywania popularności znajdowali się sponsorzy, którzy ofiarowywali mu coraz to lepszy sprzęt specjalistyczny. Koptowie w sprawach Boga mają gest. Ambicją wielu jest pozostawić po sobie trwałe ślad wdzięczności Bogu. A zwłaszcza tak spektakularne miejsce jak sanktuarium św. Szymona Garbarza, obiekt nieskrywanej dumy, mobilizuje do ofiarności.

Mariusz po kilkunastu latach pracy może przytoczyć setki przykładów wspomnianej ofiarności. Wystarczyło, że w sklepie u Kopta przedstawił się: „Jestem Mario z Mokattamu”, a drzwi otwierały się na oścież.

Niejednokrotnie nie tylko materiał potrzebny do budowy dostawał za darmo.

– Uważaj – ostrzegał szczodrobliwego darczyńcę – to może cię za dużo kosztować!

– Wszystko, co mam – padła odpowiedź – dał mi Pan.
– A to, co robicie na Mokattamie, jest na Jego większą chwałę. Bierz, co ci się żywnie podoba. Co dziś ofiaruję, to nie strata. Bóg mi jutro pobłogosławi.

Trzeba mocno podkreślić, że ogrom prac wykonanych w sanktuarium to nie tyle efekt pomocy bogatej koptyjskiej diaspory z Zachodu, ale przysłowiowy wdowi grosz samych *zabalin*. W ostatnich czasach wspiera ich życzliwość współwyznawców z całego Egiptu, którzy coraz liczniej pielgrzymują do monasteru. Wiara góry przenosi...

Polak z Mokattamu jest powszechnie znany wśród Koptów jako *Mario*. Ciekawostka: w egipskim dialekcie języka arabskiego głoska „sz” na końcu czasownika wyraża zaprzeczenie. By uniknąć tej negatywnej konotacji, sami arabscy chrześcijanie zmienili wymowę jego imienia na bardziej swojską.

Mario cieszy się wielką estymą i sympatią u mieszkańców Mokattamu. Są mu wdzięczni za ogromne płaskorzeźby, dzięki którym ich sanktuarium schowane za masą odpadów, stało się sławne i odwiedzane. Ale najistotniejsze jest to, że nauczył się dobrze dialektu egipskiego i nadal studiuje język arabski, zwłaszcza zgłębiając Pismo

Święte. Dla obcokrajowca pragnącego zintegrować się z lokalną społecznością jest to podstawowa sprawa. Przez język poznaje się sposób myślenia i w nim wyraża się serce człowieka. Mario dokonał nie lada sztuki – otworzył ku sobie serca wrażliwych na swym punkcie i butnych śmieciarzy. Choć odróżnia się od nich ze względu na rasę, *zabalin* już go nie nazywają *hałaga* (w języku lokalnym: obcokrajowiec, biały). Uznali go za swojego, a i on sam mówi o sprawach wspólnoty koptyjskiej, używając pierwszej osoby liczby mnogiej. Gdziekolwiek się nie pojawi, dorośli i dzieci zewsząd go pozdrawiają. A on odpowiada na pozdrowienia starszych, żartuje z dziećmi i przekomarza się z młodymi.

Jest znany, ale i on zna bardzo wielu po imieniu. Przez lata pod jego dyрекcją przy budowie monasteru pracowały dziesiątki pracowników. Stąd też wie, ile i jakie mają dzieci. Często zwierżają mu się ze spraw i problemów rodzinnych. Umie też „uszcypnąć” odpowiednim słówkiem chłopaka, co zbija bąki, albo młódkę, której świat za bardzo zakręcił w głowie. „Dawno nie widziałem cię na wspólnej modlitwie...” – wprost wytknie. Na trwale wpisał się w panoramę dzielnicy: dosłownie – przez płaskorzeźby, ale i w sposób o wiele głębszy – w dusze śmieciarzy, bo ich pokochał, a i oni serdecznie przyjęli go za swego.

Abuna Korollos, przełożony klasztoru św. Makarego w Wadi Natron na Pustyni Scytyjskiej, znalazł dla Mariusza biblijny przydomek, porównując go do Besaleela, artysty wskazanego Mojżeszowi przez Boga na wykonawcę Arki Przymierza i Namiotu Spotkania: „Napełniłem go duchem Bożym, mądrością i rozumem, i umiejętnością wykonywa-

nia wszelkiego rodzaju prac, pomysłowością w (...) rzeźbieniu kamieni” (Wj 31,1–5; 35,30–34).

Przez pierwsze lata Mario pracował codziennie dla monasteru bez stałego wynagrodzenia. W 1997 roku otrzymał ofertę od Polskiego Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego w Kairze. Potrzebowali człowieka znającego język arabski i potrafiącego załatwić wiele zawiłych spraw w administracji, niekoniecznie przyjaznej dla petenta. Do tego dochodziła konserwacja urządzeń w domu i utrzymanie sprawności technicznej samochodów. Nie mógł odtąd już być codziennie w sanktuarium, ale pół etatu stałego zatrudnienia dało mu komfort pewnej niezależności finansowej.

Na utrzymanie rodziny, zwłaszcza w przypadkach losowych, było to jednak za mało. Kryzysowe sytuacje dają szansę na odkrywanie pomocy ze strony Bożej Opatrzności. Oboje z żoną mogą przytoczyć wiele zdarzeń świadczących o ogromnej życzliwości otoczenia, jakiej doznawali nieustannie. Stworzyli dynamiczny tandem i wzajemnie się dopingują. Nauczyć się żyć w małżeństwie mieszanym, to wcale nie taka prosta sprawa. Nawet jeśli oboje są chrześcijanami, to ich różne mentalności niejednemu raz rodziły problemy.

Po urodzeniu dwóch córek Mona na nowo podjęła pracę zarobkową, ale jej oczkiem w głowie jest nadal animacja grupy modlitewnej przy bazylice na Heliopolis. Mario dzieli swój czas między rodzinę, Mokattam i Centrum Archeologii. Jako że dał się poznać jako specjalista, często otrzymuje propozycje lepiej płatnej pracy – nie przyjmuje ich jednak, ponieważ wiązałoby się to z opuszczeniem sanktuarium. Tę kwestię przedyskutowali już wcześniej z o. Szy-

monem. Kuszony intratną fuchą, Mario przedstawił kapłanowi sprawę, podpierając się troską o zabezpieczenie spokojnego bytu własnej rodziny. Mądry starzec przypomniał mu wtedy początki jego wielkodusznego zaangażowania w rozwój sanktuarium i ufności w Bożą Opatrzność. Teraz już nie wracają do tego tematu – tu jest jego miejsce.

Na przygodę z rzeźbami i Koptami Mario patrzy przez pryzmat wiary. Przytacza sytuacje, które jednoznacznie wykazały, że Bóg nad nim czuwa. Niejeden raz podczas niebezpiecznych prac na wysokości opatrnościowo uniknął wypadku czy śmierci. Mimo że korzysta z wszelkich dostępnych zabezpieczeń, nie wszystko da się przewidzieć. Tak było, gdy runął na ziemię z wysokości dziesięciu metrów i nic mu się nie stało.

W jednej z podziemnych sal Mario urządził coś w rodzaju zaczątku przyszłego muzeum. Zapewne praca w Centrum Archeologii uczuliła go na potrzebę dokumentacji i gromadzenia artefaktów. Gromadzi tam wszystko, co kiedyś może zaświadczyć o historii tego specyficznego miejsca.

POSŁUGA UWALNIANIA

Monaster św. Szymona Garbarza wyrósł zaledwie w ciągu pokolenia na jedno z bardziej wpływowych centrów duchowych Kościoła koptyjskiego. Abuna Saaman jest renomowanym egzorcystą. Jego modlitwy o uzdrowienie i uwolnienie, poprzedzone nauką biblijną i czuwaniem modlitewnym, ściągają w czwartkowe wieczory tysiące ludzi – nie

tylko Koptów, ale i gości z zagranicy. Zgromadzeni w katedrze św. Szymona zajmują zwykle trzecią część pnącej się w górę galerii. Na dole, przed ikonostasem znajduje się pulpit dla mówcy – to czuwanie nie jest Eucharystią, bo mszę odprawia się zwyczajowo rankiem. Po bokach zasiadają: z jednej strony – chórzyści, z drugiej – chorzy oczekujący na modlitwę wstawienniczą. Nocna ceremonia w całości transmitowana jest przez kamery na ogromnym ekranie rozpostartym wysoko na ścianie skalnej ponad prezbiterium. Stąd też nawet daleko siedzący mogą wszystko dokładnie śledzić. Ponadto telewizja internetowa wysyła ten program przez łącza satelitarne na cały arabski świat, i nie tylko. Zaskakuje rozmach w zastosowaniu dzisiejszych środków technicznych.

Po długim przygotowaniu: czytaniu słowa Bożego, nauczaniu i modlitwie serca, następuje modlitwa wstawiennicza. Chorzy polewani są wodą święconą (obficie i z butelki, co może dziwić), a następnie podprowadzani indywidualnie do kapłana. W tym momencie można być świadkiem uwikłania w demoniczne wpływy. Ojciec Szymon ujawnia wtedy swój charyzmat egzorcysty. Dialog z osobą opętaną kapłan prowadzi do mikrofonu, by zgromadzenie słyszało, co się dzieje. Często przeradza się to wręcz w awanturę o człowieka. Imię Jezusa jest podstawowym środkiem ku uwolnieniu.

Egzorcysta namaszcza też wszystkich objętych modlitwą specjalnym olejem, ale nie chodzi tutaj o sakrament namaszczenia w rozumieniu katolickim. Ten olej pochodzi z obrzędu weneracji – oddania szacunku relikwiom świętych. Aby go uzyskać, porcję oleju wlewa się do tuby – reli-

kwiarza, w jakim Koptowie mają zwyczaj przechowywać czcigodne szczątki. Olej pozyskany na nowo po takiej specjalnej ablucji jest używany do modlitwy nad chorymi i opętanymi.

Nie sposób pozostać obojętnym na widok takiej masy modlących się i śpiewających chrześcijan, zwłaszcza że ten obraz nie bardzo współgra z typowym wizerunkiem Egiptu jako kraju muzułmańskiego. Także wielu wyznawców islamu przychodzi prosić o pomoc, o modlitwę nad nimi. Trzeba bowiem wiedzieć, że w społeczeństwie egipskim, obok głębokiej wiary w Boga, równie głęboko zapuściła korzenie magia i nie brak tu przypadków opętania.

Islam całej Afryki Północnej naznaczony jest wszechobecnym marabutyzmem. Instytucja muzułmańskiego mędrca – marabuta jest swego rodzaju substytutem pogańskiego czarownika. Zarówno chrześcijanie, jak i muzułmanie często dają się zwieść pokusie natychmiastowego rozwiązania problemu. Wtedy idą do osoby parającej się magią, ale potem jest jeszcze gorzej – nie mogą sobie ze sobą poradzić. Raz dopuszczona ciemna siła najpierw mami powodzeniem, później dręczy i niszczy. Zdesperowani szukają wtedy na nowo pomocy u ludzi Boga. Kościół od zarania swych dziejów posiada broń, która w ostateczności może pomóc wyrwać się człowiekowi z sidła demonów – egzorcyzmy. Szejkowie w islamie czegoś podobnego nie mają do zaproponowania. Stąd też udręczeni wewnętrznym cierpieniem, zdesperowani muzułmanie szukają pomocy u koptyjskiego *kahina* (kapłana).

Ojciec Szymon jest otwarty, ale stawia ważny warunek: będzie się modlił o uwolnienie *bismi Jesua al-Masih ibn Il-*

lah (w imię Jezusa Chrystusa, Syna Bożego). Biedny muzułmanin musi wtedy poradzić sobie z wewnętrznymi rozterkami: przyjąć ofertę uwolnienia, czy też nie? Wielu się decyduje.

W Sanktuarium Cudu Przeniesienia Góry dzieją się rzeczy dziwne i niewytłumaczalne. Dokonują się cuda. Najważniejsze z nich dotyczą przemiany serc, ale są i widoczne, fizyczne uzdrowienia. Wierni świadczą o walce, jaka się dzieje w ich duszach. Ich skomplikowane z powodu grzechu życiowe sprawy po modlitwie i pokucie zaczynają się rozwiązywać. To wyjaśnia, dlaczego to miejsce, jeszcze niedawno będące zwykłym zakamarkiem, w którym na modlitwę gromadziła się niewielka grupa wiernych ze śmietniska, w ciągu tak krótkiego czasu stało się pulsującym ośrodkiem duchowym, odwiedzanym co tydzień przez tysiące osób.

Ojciec Szymon jest już leciwym człowiekiem i coraz częściej podupada na zdrowiu. W pracy duszpasterskiej wspiera go czterech młodszych kapłanów, wyświęconych spośród miejscowej ludności. W dzielnicy śmieciarzy, położonej poniżej sanktuarium, powstała kolejna nowa parafia. Koptom z Mokattamu nie brakuje duszpasterzy. Ciągłość jest zapewniona.

Dawne slumsy na śmietniku ustępują stale miejsca dzielnicy przypominającej coraz bardziej wiele innych robotniczych dzielnic w Kairze. Ludzie wybudowali w miarę solidne domy i przynajmniej od święta starają się ubierać schludnie. Dzieci posyłają do szkoły i na studia, ale, co ciekawe, nie wiążą tego koniecznie z ambicją opuszczenia „brudnej” dzielnicy – nie wstydzą się swego pochodzenia.

DOBRO RODZI DOBRO

Sanktuarium, jako wizytówka miejsca, przyciąga wielu ciekawskich z różnych stron świata. Zafascynowani tym, co tutaj zobaczyli, często stają u źródeł fundacji i dzieł społecznych. Funkcjonuje tu przyzwoity szpital i kilka szkół. Pierwsza, która powstała w dzielnicy, ma bardzo ciekawą historię.

Otóż zablądził tu przed laty pewien Fin przemierzający Egipt na rowerze. Ktoś mu opowiedział o intrygującym fenomenie wspólnoty śmieciarzy spod góry Mokattam, więc postanowił ją zwiedzić. Pech chciał, że jadąc wąską uliczką, pełną rozbieganych dzieci, wpadł na jedno z nich i poważnie uszkodził mu stopę. Sytuacja momentalnie stała się niebezpieczna dla niefortunnego *hałagi*. Udało mu się jednak udobruchać krzyczących ludzi, ponieważ od razu zadeklarował pomoc poszkodowanemu. I słowa dotrzymał. Incydent zmusił go do zatrzymania się na miejscu, ale przez kilka kolejnych dni miał okazję przyjrzeć się z bliska życiu w dzielnicy biedoty. Chłopiec szczęśliwie powrócił szybko do zdrowia, a wydarzenie, które pierwotnie zaciążyło ciemną chmurą nad głową przybysza, stało się początkiem nowej przyjaźni. Powróciwszy do swego kraju, nie wstawił swej podróży do lamusa wspomnień, ale podjął akcję uwrażliwienia na los śmieciarzy w Kairze. Owocem jego działań jest szkoła sfinansowana z budżetu rządu Finlandii.

Inna szkoła, prowadzona przez siostrę Sarę z koptyjsko-ortodoksyjnego zgromadzenia, jest owocem ekumenizmu. Katolicy zajmują skromne, ale poczesne miejsce w duszpasterstwie na Mokattamie. Zanim Matka Teresa

posłała do dzielnicy o. Szymona swoje siostry, od początku lat 70. w Ezbet el-Nakhi, innej dzielnicy śmieciarzy, działała znana szeroko w Europie Francuzka, s. Emmanuelle ze wspólnoty Sióstr Matki Bożej z Syjonu, która w latach 80. i 90. elektryzowała Francję swoimi akcjami na rzecz solidarności z ubogimi. Ta tryskająca niespożytą energią zakonnica na emeryturze była *spiritus movens* zgromadzenia ortodoksyjnych sióstr koptyjskich i dostarczyła im wielu środków do prowadzenia działalności charytatywnej. Siostra Sara, niegdyś prawa ręka s. Emmanuelle, założyła szkołę również na Mokattamie, gdzie żyje ze swoją wspólnotą do tej pory.

Przez ostatnie lata poprawiła się też znacznie infrastruktura dzielnicy. Bez pomocy z zewnątrz nie udałooby się z pewnością doprowadzenie wody czy prądu do dzielnicy śmieciarzy, ale już wiele gospodarstw domowych i tutejszych zakładów korzysta z tych udogodnień. Kolejnym etapem rozwoju ma być kanalizacja i utwardzenie dróg. Rząd na co dzień nie interesuje się losem plebsu z przedmieść, tylko gdy zbliżają się wybory, lokalni kandydaci (muzułmanie, bo tylko oni w praktyce mogą liczyć na uzyskanie mandatu) wydeptują tutaj ścieżki, bo głos wyborców z Mokattamu ma swoją wagę. Wątpliwa jeszcze do niedawna egzystencja tego *ex-bidonville* jest teraz raczej zapewniona. Powstanie szkół, szpitala, małych przedsiębiorstw i postępująca urbanizacja, ale przede wszystkim istnienie monasteru przesądziło sprawę na korzyść śmieciarzy. Wiara góry przenosi i... funduje dzielnice. Ale nie znaczy to, że *zabalín* nie mają wrogów.

OBLĘŻENI

We wrześniu 2008 roku wydarzyła się nieopodal sanktuarium wielka tragedia. Cztery kilometry dalej na północ, już w dzielnicy mużułmańskiej, ogromna skała oderwała się od grani Mokattamu i runęła na stojące poniżej domy. Mówiono o pięćdziesięciu zabitych, ale któż był w stanie policzyć naprawdę? Nikt tego rumowiska nie przerzucił. Działy się tam dantejskie sceny – telefony komórkowe dzwoniły jeszcze spod ziemi przez parę dni...

Do dramatu doszło na skutek braku fundamentalnej przezorności. Ludzie zamieszkali nie tylko pod samą wapienną (a więc słabą) granią, ale i na górze, na samym jej krańcu. Przy tym wszechobecna prowizorka przyspieszyła tragedię. Nikt nie przejmował się właściwym odprowadzeniem ścieków, więc fekalia spływały w szczeliny skalne. W ten sposób w galopującym tempie rozmiękczeniu uległo wapienne podłoże. Do tego należy dodać ciężar nowych kilkupiętrowych budowli wybudowanych nad samym urwiskiem. Osuwisko pogrzebało ludzi z góry i z dołu. Potem, oczywiście, nie znaleziono odpowiedzialnych za tragedię ani też zdolnych do realnej pomocy poszkodowanym.

Rykoszet tej afery rok później dotarł na chrześcijański Mokattam. Wydano zarządzenie, że dla zapewnienia bezpieczeństwa trzeba wyburzyć domy postawione w odległości mniejszej niż sto pięćdziesiąt metrów od nawisu skalnego, a ludzi przesiedlić w inne miejsce. Sęk w tym, że nie były to jedynie domy mieszkalne, ale również miejsca pracy. Gdzie teraz sortować śmieci?

Ludzie burzyli się, ponieważ nie mogli zaakceptować tego pseudo-rozwiązania. Nikt się z nimi nie liczył. Tajemnicą poliszynela było również to, że wykonawcą rozporządzenia miał być pewien muzułmański przedsiębiorca i już od zleceniodawcy zainkasował grube sumy.

Aby załagodzić scysję, po raz kolejny interweniował, cieszący się autorytetem wśród lokalnej ludności, o. Szymon, który zaproponował polubowne rozwiązanie. Domy zostaną, ale sanktuarium zobowiązuje się zlikwidować potencjalnie niebezpieczne głazy na krawędzi i umocnić jej strukturę.

Po uzyskaniu stosownego pozwolenia do działania przystąpił Mario, ponieważ nikt lepiej od niego nie zna tujejszych skał, każdej szczeliny i nawisu. Dysponuje on też odpowiednimi narzędziami i ma zaufaną ekipę pracowników. Co więcej, posiadał technikę łupania skał na kawałki bez wybuchów. Zanim przystąpił do pracy, zaprzyjaźnieni z nim krakowscy geolodzy przeprowadzili dla niego wiele fachowych ekspertyz. Ktoś życzliwy wypożyczył dwie koparki i dźwig. Kilka miesięcy trwała tytaniczna praca rozsadzania i przepychania kamieni w taki sposób, by podczas robót nie stworzyć zagrożenia dla znajdujących się poniżej domów.

Jedyny incydent zdarzył się w ostatni dzień pracy. Rutyna albo wypalona szisza kazała operatorowi zignorować obowiązek włączenia pneumatycznych stabilizatorów, koniecznych do unieruchomienia maszyny. Mario był akurat poniżej i sprawdzał umocowanie łańcuchów na ostatnim bodajże kamieniu przewidzianym do wciągnięcia na górę. Gdy dźwig podjął pracę, kamień zamiast pójść w górę, ścią-

gnął maszynę w dół. Jeden wielki huk, chmura pyłu i zewsząd krzyki przerażenia.

Gdy tuman nieco opadł, okazało się, że dźwig choć spadł między domy, to nie wyrządził większej szkody. Operator, odurzony, zdołał wyskoczyć z maszyny w ostatniej chwili. Ludzi, na szczęście, na dole podczas prac nie było. Nie do wiary, że Mariuszowi też nic się nie stało. Dźwig przeleciał tuż koło niego! Jedna spośród czterech żelaznych łap, która powinna przeorać półkę skalną, na której on stał, akurat się wyłamała i pozostała na górze. Istnieje filmowy zapis tego zdarzenia zrobiony przez kamerzystę dokumentującego prace. Po tej katastrofie Besaleel z Kairu zamknął się na resztę dnia w swej skalnej pustelni – miał co przemodlić.

Śmieciarze z Mokattamu od czasu do czasu traktują swoją dzielnicę jak twierdzę. Wtedy ich pięćdziesięcioletnia wspólnota czuje w sobie siłę. Droga dojazdowa już nie raz była areną starć z siłami porządkowymi. Tak było podczas wspomnianego na wstępie nakazu wybicia świń w 2009 roku. Niektórzy spośród hodowców trzody chlewnej nie chcieli biernie patrzeć na to, jak pozbawia się ich źródła dotychczasowego dochodu. Zaatakowali kamieniami przybywające po zwierzęta ciężarówki, próbowali barykadować drogi. Zamieszki trwały przez dwa dni. Kilkadziesiąt osób skazano na więzienie.

O wiele gorzej potoczyły się wypadki w 2011 roku, już po rewolucji, która obaliła Hosniego Mubaraka. Po spaleniu kościoła koptyjskiego na Halwan, przemysłowym przedmieściu Kairu, dziarscy śmieciarze z Mokattamu wylegli masowo na przebiegającą w sąsiedztwie autostradę

i protestowali, żądając uszanowania ich miejsca w społeczeństwie egipskim. Skończyło się to interwencją sił porządkowych, ofiarami w ludziach i założeniem knebla demonstracji. Jednak wiadomość o tym poszła w świat. Jak twierdzą pracownicy nadmorskich kurortów, wieść o niesprawiedliwości w traktowaniu Koptów zamroziła na parę miesięcy przyjazd turystów do Egiptu. Jest to pozytywne *novum*. Czyżby w XXI wieku opinia wspólnoty międzynarodowej i jej nacisk przekładający się na straty finansowe mogły być skuteczną kartą przetargową w obronie chrześcijan nad Nilem?

Śmietnik to zgnilizna i smród. Przekłete miejsce poza marginesem. Nie ma gorszego upodlenia, jak skończyć na wysypisku. Śmieciarz budzi odrazę i litość. Natknąć się na człowieka, który pod osłoną nocy grzebie w kubłach na śmieci, to nie tylko upokorzenie dla niego, ale i żenująca sytuacja dla mimowolnego świadka.

Istnieje też pozytywna strona śmietniska. Zgnilizna to dobry nawóz. Nawet ze śmieci może się odrodzić coś dobrego, nowego. Są też ludzie, oprócz *zabalin*, dla których odnalezienie wysypiska śmieci równe jest bogactwu – to archeologowie. Z odpadków porzuconych przez dawne pokolenia potrafią odczytać historię cywilizacji. Śmietnisko może mieć swą wartość. Egipt faraonów i *zabalin* podwójnie o tym świadczy.

Prawie całe dwutysięczne dzieje Koptów to proces stopniowego spychania ich na śmietnisko historii i społeczeństwa. A jednak nawet tam przetrwali. „Staliśmy się śmieciem tego świata i odrazą dla wszystkich” – refleksja św. Pawła

- ✦ nabiera nad Nilem niespotykanej aktualności. Poznanie nędzy ich losów może być niezmiernie ubogacające.

Książka „**Koptowie. Stałiśmy się śmieciem tego świata**” jest owocem dwuletniego pobytu autora w Kairze, gdzie poznał ludzi związanych z Kościołem koptyjskim. Wprowadzili go oni w niezwykle świat chrześcijaństwa, które pomimo nieustających prześladowań i przeciwności trwa i rozwija się nad Nilem. Jego początki, jak z dumą podkreślają egipscy wyznawcy Chrystusa, sięgają czasów samej Ewangelii – wszak Zbawiciel po swoim narodzeniu na pewien czas znalazł schronienie właśnie w kraju faraonów.

Książka z jednej strony jest reporterskim opisem życia chrześcijan w dzisiejszym Egipcie. Z drugiej stanowi swoiste studium historii Egiptu, podane w sposób żywy i pełen swady, tak charakterystycznej dla autora. Dzięki niemu możemy w sposób systematyczny zapoznać się z mało znaną polskiemu czytelnikowi historią chrześcijaństwa nad Nilem i lepiej zrozumieć wydarzenia, jakie dziś rozgrywają się w Egipcie.

„Koptowie” to trzecia książka brata Roberta Wieczorka. W dwóch pierwszych – „Listy z Serca Afryki” i „Pęknięte Serce Afryki” opisywał życie i zmagania mieszkańców Republiki Środkowoafrykańskiej. W recenzji do „Pękniętego Serca Afryki” **Ryszard Kapuściński** napisał: „W tej prozie jest wielka wrażliwość, znajomość tła i sensu wydarzeń, bardzo ciekawa, porywająca relacja”. Choć „egipska” książka brata Roberta ma nieco inny charakter, odnajdziemy w niej wszystkie te elementy, które sprawiają, że czyta się ją „jednym tchem”.



Brat Robert Wieczorek urodził się w 1966 roku w Krakowie, mieszkał w Krzeszowicach. W dwudziestym roku życia wstąpił do Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów. W 1993 roku przyjął święcenia kapłańskie, a rok później podjął pracę na misjach w Republice Środkowoafrykańskiej, gdzie pracuje do dzisiaj.

księgarnia internetowa
www.e-serafin.pl

ISBN 978-83-63243-13-5



patronat medialny



HOMO
DE

miesięcznik
katolicki
List

kapucyni.pl glosojcapio.pl

fronda.pl
PORTAL PRACOWNIKÓW